

Anna NAWROCKA

Rodzina i starość... Na podstawie wybranych nowel Lucette Desvignes ze zbioru *Famille, familles* (Rodzina, rodziny)

Zanim przystąpię do prezentacji Lucette Desvignes jako osoby prywatnej, jej kariery zawodowej i literackiej, chciałabym wyjaśnić, dlaczego ta pisarka znalazła się w kręgu moich zainteresowań. Po pierwsze – zdecydował o tym jej styl, który fascynuje odbiorcę. Styl narracyjny niełatwy dla czytelnika, wymagający koncentracji, ale też wywołujący emocje. Nie tylko jesteśmy świadkami doznań bohaterów, lecz także jesteśmy w nich i przeżywamy je z nimi, co postaram się zobrazować. Po drugie – twórczość Desvignes jest bardzo różnorodna: dwie obszerne sagi, kilka powieści, ponadto nowele, sztuki teatralne i utwory liryczne. Obok tego liczne artykuły dotyczące literatury porównawczej i historii teatru. Po trzecie – jak sama wielokrotnie podkreślała w licznych wywiadach i co potwierdziła jeszcze raz w czasie rozmowy ze mną 28 września 2007 roku, zawsze interesowały ją związki i wzajemne stosunki między członkami rodziny, szczególnie sytuacja ludzi w podeszłym wieku. Stąd mój wybór.

Odkrycie twórczości Desvignes zmobilizowało mnie także do analizy jej prozy, zwłaszcza zaś psychiki bohaterów. Autorka często podkreślała, że wszystko, co czynimy i jak postępujemy, w najdrobniejszych szczegółach tworzy się podczas naszego myślenia.

A ponadto – to już na marginesie – wydaje się w pełni uzasadnione, że na ziemi opolskiej, noszącej niemało śladów związków z Francją, ich wzbogaceniem będzie prezentacja autorki z Burgundii.

Oto kilka informacji, które przybliżą fascynującą i dynamiczną osobowość pisarki, a także wyjaśnią przyczyny, dla których porzuciła swoją karierę uniwersytecką, by całkowicie poświęcić się twórczości literackiej.

Lucette Desvignes urodziła się 1 maja 1926 roku w Mercurey, małej wiosce na południu Burgundii, w departamencie Saône-le Loire, w rodzinie nauczycielskiej. W 1929 roku ojciec został mianowany dyrektorem Szkoły dla Chłopców w Chalons-sur-Saône, gdzie przeprowadziła się rodzina. Lucette będzie tam mieszkać do 18. roku życia i spędzi tam okres okupacji.

W Chalons, mieście będącym stolicą administracyjną departamentu, Lucette otrzymała swoje świadectwa z maturalnym włącznie, studia wyższe z literatury porównawczej i prawa ukończyła zaś na Uniwersytecie w Dijon. Po uzyskaniu dwóch licencjatów (po ślubie z André Desvignes; ślub odbył się 1 września 1948 roku) Lucette zaczęła karierę pedagogiczną, która będzie trwała 37 lat. Uczyła w wielu placówkach, w tym w latach 1949–1959 w gimnazjum w Chalons, do którego sama uczęszczała.

Po uzyskaniu dyplomu agregacji z literatury porównawczej w 1956 roku Lucette zaczęła karierę uniwersytecką – najpierw w Lyonie w 1959 roku, a następnie na uniwersytecie w Saint-Etienne w 1967 roku, gdzie założyła Międzynarodowe Centrum Studiów i Badań Porównawczych, które funkcjonuje do dziś.

Choć kariera, wydawałoby się, rozwija się zwyczajnie, jednak stosunki między kolegami na uniwersytecie nie są najlepsze. Dynamiczna w sensie zarówno organizacyjnym, jak i intelektualnym, znająca 4 języki i bardzo akceptowana przez studentów Desvignes nie jest zbyt dobrze widziana w środowisku uniwersyteckim.

W publikowanych wywiadach oraz w czasie rozmowy ze mną pisarka opowiada o tych przeżyciach spokojnie, choć nie ukrywa, że po wystąpieniach na dwóch konferencjach naukowych w 1978 roku, na skutek niezасłużonych głosów krytycznych pod adresem jej badań i publikacji, podjęła decyzję o przejściu na wcześniejszą emeryturę i zmianę zawodu. Ten moment swego życia komentuje krótko, podkreślając, iż nie żałuje doświadczenia uniwersyteckiego, które umożliwiło jej dogłębne poznanie warsztatu twórczego innych i pozwoliło na stworzenie własnego.

Tym samym wytworzona wokół niej atmosfera sprowokowała podjęcie decyzji o odsunięciu się od kariery uniwersyteckiej i odkrycie w sobie innych możliwości.

[...] To stało się nagle i dość późno, bo zaczęłam moją pracę literacką w październiku 1978 roku, pamiętam doskonale tę datę. Był to moment szczególny, straciłam wiarę w potrzebę i cel moich dalszych badań naukowych, w sens dalszej pracy na uniwersytecie. Byłam pewna, że już więcej nie będę się zajmowała pracą badawczą.

Tego samego dnia kupiłam zeszyt do notowania i zaczęłam pisać. Pisałam kilka godzin bez odpoczynku, jakbym chciała wyrzucić z siebie to, co było przez lata nagromadzone, jakbym chciała nadrobić stracony czas. W takich warunkach powstało 25

albo 30 pierwszych stron późniejszej powieści rodzinnej z Burgundii zatytułowanej *Les Nouds d'Argile* (Węzły z gliny)¹.

Wydana w 1982 roku bez żadnych zmian i poprawek powieść otrzymała w tym samym roku przyznaną przez paryskie jury nagrodę imienia Roland Dorgeles, bardzo cenioną w środowisku twórczym.

Kolejnym dowodem uznania była dla Desvignes nagroda Burgundii w 1986 roku za sagę zatytułowaną *Les Mains nues* (Gołe ręce), skomponowaną z trzech części, w skład której wchodzi następujące tomy: I. *Les Nouds d'Argile* (Węzły z gliny; 460 ss.), II. *Le grain du chanvre* (Ziarno konopi; 625 ss.), III. *Le Livre de Juste* (Księga prawdy; 730 ss.).

Pierwsze doświadczenie twórcze Desvignes utwierdza ją w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję, opuszczając środowisko uniwersyteckie, i że obrała dobrą drogę. Jej oferta literacka się wzbogaca; do powieści dochodzą inne gatunki literackie, tj. poematy i nowele. Otrzymywane listy świadczą o tym, że nie tylko jest czytana, lecz także potrafi stworzyć kontakt emocjonalny między odbiorcami i bohaterami. Jej utwory znajdują się na listach lektur zalecanych studentom literatury, a także uczniom liceum, zwłaszcza przygotowującym się do egzaminu maturalnego o profilu literackim. Odbywają się liczne spotkania autorskie przede wszystkim na terenie Burgundii, co jest zrozumiałe ze względu na tematykę pierwszej sagi. W prasie regionalnej i narodowej, m.in. w „Le Monde”, pojawiają się artykuły prezentujące jej karierę i utwory.

Wiadomości o Desvignes, jej sukcesach pisarskich, jej stylu narracyjnym, szybko docierają do Anglii i Stanów Zjednoczonych, gdzie w bardzo krótkim czasie jej dzieła zostają przetłumaczone i opublikowane. W Stanach Zjednoczonych Desvignes zaczyna cieszyć się coraz większą popularnością, przynajmniej raz w roku jest zapraszana na różnego rodzaju spotkania i dyskusje, w których bierze udział nie tylko z ogromną przyjemnością, lecz także z dumą jako ktoś, kto został doceniony i zasłużył na wyróżnienie dzięki swojej pracy i uzyskanym rezultatom.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno wydarzenie, do którego doszło w Stanach Zjednoczonych – mianowicie utworzono Stowarzyszenie Literacko-Krytyczne poświęcone studiom twórczości literackiej, w tym w dużym procencie prezentowanej tu autorce. Od początku działalności stowarzyszenia, czyli od 1991 roku, wydawany jest „Rocznik Literacki: SLD” (*Studies on Lucette Desvignes and Contemporary French Literature*).

Obok powieści rzeki na sukces autorki z Burgundii złożyły się również nowele; za jedną z nich pt. *La consultation* (Konsultacja) Desvignes w 1984 roku

¹ Rozmowa z L. Desvignes przeprowadzona przez A. Nawrocką 28 września 2007 r. w domu pisarki w Dijon.

otrzymała kolejną nagrodę: de l'Humour Alexis Piron². Nowela ta została opublikowana w zbiorze *Famille, familles* (Rodzina, rodziny; 1988, 136 ss.), w którym znalazło się sześć innych historii: *Pousse-Café*, *Affaire de famille* (Sprawa rodzinna), *L'Ecluse* (Śluza), *La Scolopendre* (Skolopendra), *La Privilege* (Przywilej) i *La Consultation* (Konsultacja), z których dwie, tj. *Pousse-Café* i *La Scolopendre*, zostały ze względu na tematykę wybrane do prezentacji.

Warto na wstępie wspomnieć ilustrację znajdującą się na okładce zbioru. Wykorzystano tu fragment obrazu *Posilek przy kominku* autorstwa Jeana-Baptiste'a Lallemanda (w zbiorach Muzeum Sztuk Pięknych w Dijon)³, co wydaje się bardzo trafne, gdyż obraz ten doskonale komponuje się z tytułem, któremu również należy poświęcić kilka słów.

Mamy więc – używając terminologii gramatycznej – dwa rzeczowniki niosące, zdawałoby się, identyczną treść, różni je bowiem tylko forma liczby pojedynczej i mnogiej. Jednak jest to jedynie nasze złudzenie. W rzeczywistości jest inaczej – i w tym miejscu odwołuję się do refleksji samej autorki, która w przekonujący sposób udowadnia sens tych dwóch form gramatycznych, a tym samym tytułu. Mianowicie rzeczownik w liczbie pojedynczej to po prostu generalne określenie rodziny, natomiast liczba mnoga podpowiada wielorakość sytuacji, relacji i zachowań wewnątrzrodzinnych.

I w tym momencie dochodzimy do jądra problemu, najczęściej w bardzo pesymistyczny sposób obrazującego nieumiejętność wzajemnego obcowania międzypokoleniowego, nieradzenie sobie z codziennością, która, niestety, nie przybliża, a wprost przeciwnie – oddala ludzi od siebie; do tego należy dodać zagubienie i skrępowanie w okazywaniu uczuć, fałszywy wstyd, który uniemożliwia wypowiedzenie ciepłego słowa czy wykonanie gestu uwidaczniającego przyjazne emocje.

Większość bohaterów (a właściwie bohaterek) Desvignes zмага się z udręczeniem, biedą, starością, złośliwością bliskich, dominacją mężczyzn, pograżaniem się w milczeniu czy popadaniem w apatię. Bohaterowie, oddalając od sie-

² Alexis Piron (1689–1773) – urodzony w Dijon, gdzie mieszkał do 30. r.ż. Autor wielu poematów erotycznych i satyr, a także komedii i operetek komicznych. Lubiący i używający życia, wyśmiewający wszelkie zakazy i nakazy, zarówno kościelne, jak i akademickie, za co został usunięty z Akademii Francuskiej, której był członkiem. Znamienna jest jego autocharakterystyka, mająca formę nagrobnego epitafium: „Tu spoczywa Piron, który był nikim, nawet nie był akademikiem” (*Ci-git Piron, qui ne fut rien. Pas même académicien*).

³ Jean-Baptiste Lallemand, francuski malarz urodzony w 1716 r. w Dijon, zmarł w 1803 r. w Paryżu. Po pobycie we Włoszech powrócił do Paryża, gdzie kontynuował swoje prace malarzkie, a także został członkiem Akademii Malarstwa. Autor licznych obrazów, w tym szczególnie pejzaży, malował również sceny z ludźmi. Muzeum Sztuk Pięknych w Dijon posiada bogaty zbiór jego dzieł; czasami podpisywał swoje obrazy: Lallemand. Za: http://fr.wikipedia.org/wiki/Jean-Baptiste_Lallemand

bie możliwości porozumienia i nawiązania kontaktu, stają się podejrzliwi i coraz bardziej złośliwi, nawet w oczach tych, którzy darzą ich uczuciem.

Jeśli przyjrzeć się stylowi literackiemu autorki, można odnaleźć w nim wiele podobieństw do prozy Williama Faulknera. U obu twórców występuje pomieszanie pesymizmu egzystencjalnego ze współczuciem i litością.

Styl narracyjny Desvignes nie tylko idealnie pasuje do zamierzonego przekazu, lecz także dzięki niemu – poprzez swoisty sposób wyciszenia wypowiedzi – autorka uzyskała efekt odwrotny, wydobyla te szczegóły w sposobie myślenia i zachowania bohaterów, które były jej niezbędne do zgłębienia ich psychiki. Przykładem nowela *Pousse-café*⁴. W efekcie zmiennych narracji (pierwszoosobowej, trzecioosobowej, nierzadko drugoosobowej) uzyskuje się wysoką skalę emocyjnego stylu.

Pousse-café jest opowieścią o dwunastoletniej dziewczynce, opuszczonej najpierw przez matkę, a następnie przez ojca i oddanej pod opiekę babci, biednej jak przysłowiowa mysz kościelna. Codziennosc wnuczki i babci widziana poprzez uczucia bohaterki pozwala odkryć ich emocje, nawet bardzo intymne i skryte. Dzięki temu jesteśmy blisko postaci, obdarzamy je zaufaniem i dzielimy z nimi ich doświadczenie.

Wnuczka, widząc wszystko bardzo stare jak babcia, rozlatujące się i brudne, snuje refleksje, że babcia musi być do tego przyzwyczajona od 200, a może nawet 300 lat. To poczucie straszliwej nędzy pogłębia w niej wspomnienie z niedalekiej przeszłości, paryskiego mieszkania, jasnych mebli, kwiatów na stole, smacznych posiłków itd. Dwunastoletnia dziewczynka nie zastanawia się, dlaczego rodzice się rozeszli, ale dlaczego mama, odchodząc od nich i zostawiając ją samą, pisała w liście, jak czule ją kocha i jak bardzo cierpi z powodu rozstania: „Mam złamane serce, zostawiając cię – było czystą hipokryzją. A te ostatnie słowa, przywiązanie, uczucie... Przeczytała to tylko raz, bo na więcej nie zasługiwało [...] Między mamą a jej córką nie powinno tak być – snuje refleksje dziewczynka”⁵. A potem ojciec i jego decyzje najpierw o zmianie mieszkania, a następnie o sprzedaży wszystkiego i wyjeździe do Kanady, by godziwie zarobić, aby – jak to tłumaczył – obie z babcią mogły spokojnie egzystować.

Zmiennym emocjom dziewczynki towarzyszą spokój i chłodny realizm babci:

W końcu jedyną rzeczą, o której wiedziała, był fakt, że tych dwoje, to jest ojciec i matka, znaleźli sposób, aby pozbyć się ich dziecka, oddając je pod opiekę biednej staruszce bez grosza przy duszy, która nie mogła polecieć do Kanady w poszukiwa-

⁴ *Pousse-café* to tytuł noweli, wywodzący się od wyrażenia używanego przez Francuzów, który oznacza kieliszek alkoholu wypijanego po kawie podawanej po obiedzie.

⁵ L. Desvigne, *Famille, familles*, Dijon 1988, s. 5 (przełożyła A. Nawrocka i K. Gołębiowska). Kolejne cytaty z tego wydania; w nawiasie podaję numer strony.

niu fortuny i trzeba było, aby dzieliła swoje mizerne życie z tą małą nieszczęśliwą, ponieważ nie było w rodzinie więcej naiwnych, którym można było podrzucić taki prezent (s. 6–7).

Ze strony wnuczki nic nie wskazywało na zmianę jej stosunku do babci. Przeciwnie – opis rudery, która nazywała się toaletą, podłogi w kuchni czy ceraty na stole, które mimo porządków ciągle nosiły ślady zużycia i biedy, pogłębiały już i tak niemałą przepaść. Marzenia dziewczynki o karierze artystki czy spikerki telewizyjnej, które pamiętała jeszcze z okresu paryskiego, zaczęły być zastępowane przez pytanie bardzo przyziemne: Jak długo może tu wytrzymać? Powoli głód i obsesja śmierci zaczęły zajmować miejsce marzeń.

Przypadek sprawił, że zastawienie przez babcię pułapki z trucizną na mysz i jej uśmiercenie podsunęło wnuczce myśl o odwecie na staruszce za wszystkie cierpienia, zawody, niewygody, a nawet – jak zaczęła podejrzewać – za próbę pozbycia się również jej.

I teraz wszystko było już jasne. [...] Trutka na szczury miała konsystencję ciasta, każdego ranka, przygotowując jej szklanekę kakao zanim się obudziła, [babcia] wrzucała odrobinę. [...] Tak, patrzyła na nią, kiedy piła truciznę. Zostało to przewidziane na dwa lub trzy dni być może, na czas, aby zachorowała na brzuch, tak żeby we wsi wszyscy wiedzieli, że miała niestrawności. Następnie, po dwóch lub trzech dniach, dawka zostałaby zwiększona na tyle, ażeby niestrawność okazała się wiarygodna (s. 11).

Stawała się pewna swoich podejrzeń:

Czuła jak truto ją powoli [...] że nie była głupia, rozumiała i chciała się zrewanżować. Teraz była jej kolej na wsypanie trucizny do filiżanki babci, kawa z trutką na szczury była dla niej jak kakao, które przygotowywała wnuczce. Nikt nie zadawałby pytań – przekonuje i uspokaja samą siebie dziewczynka – przecież była stara, a więc umarła, serce, bieda, troski, a wnuczkę trzeba by było oddać do sierocińca. A potem? [...] W sierocińcu – kontynuuje swoje wizje przyszła trucicielka – byłby prysznic i toalety na końcu korytarza, co różniło się od wychodka w ogrodzie ze wszystkimi tutejszymi horrorami (s. 12).

Była spokojna, przekonana o słuszności decyzji, w której nie było miejsca na inne uczucie oprócz chęci uwolnienia się od tego miejsca, od tej starej kobiety, do której – zdawało się – nic nie czuła i która nigdy, choćby jednym słowem lub najmniejszym gestem, nie ujawniła żadnego przywiązania do niej. Czy zatem ta dwunastoletnia dziewczynka mogła mieć skrupuły, czy mogło coś wpłynąć na jej decyzję?

Opakowanie wzięte z półki, otwarte, a wewnątrz kawałek trucizny, ale nie za duży, wielkości orzecha laskowego. W myślach małej wzrasta napięcie! Kawałek masy zo-

stał na dnie filiżanki w resztkach poobiedniej kawy wraz z tradycyjną kropelką alkoholu, nazywaną *pousse-café* [...].

Och, miała ją wypić do samego końca, aż do ostatniej kropli, przecież nigdy nic nie zostawiała. Babcia nie poruszała się, oddychała mocno, ale spokojnie, nawet wyjątkowo dzisiaj nie chrapała. Nic nie widziała i nic nie słyszała, jak dostała swoją porcję. Być może trzeba będzie jutro zacząć wszystko od nowa, ale może jeszcze nie wszystko stracone, przecież nie miała morza do wypicia, a tylko jeden łyk pozostawiony na dnie filiżanki, i ta jej filozofia, że nic nie może się zmarnować. Pozostało więc jeszcze czekać, choć serce biło coraz silniej (s. 13).

Relacja dziewczynki jest tak sugestywna, że mamy wrażenie bycia tam, w kuchni z drzemiącą babcią i wnuczką myślącą tylko o jednym: aby resztką kawy znalazła się wreszcie w jej żołądku.

Babcia nagle podniosła głowę. – Muszę być bardzo przemęczona, powiedziała, aby można mnie było zaskoczyć śpiącą nad filiżanką kawy! A na dodatek nawet jej nie skończyłam. – Wzięła do ręki swoją filiżankę, podniosła się z wysiłkiem i jakby się usprawiedliwiając, kontynuowała: – Kiedy wystygnie jest już niedobra, a na dodatek kawa była odgrzana i nie miała zbyt dobrego smaku. – Szła w stronę zlewu, przygarbiona, z jedną ręką na nerce, a w drugiej trzymając filiżankę z resztką kawy. Była stara i jej fartuch był równie stary [...] po prostu horror. Wystarczyło na niego popatrzeć, a już się czuło zapach ubóstwa i potu starości. [...], być może pochowałoby się ją w tym fartuchu z braku lepszego ubrania.

Myła filiżankę pod kranem i dalej mówiła sama do siebie: – Serce mnie boli, kiedy widzę, jak coś się marnuje, ale trudno. Tylko ją wypłuczę, a zmywanie naczyń zostawię na potem. Chciałabym, abyś poszła ze mną do sklepu, parę dni temu widziałam tam włóczkę w ładnym niebieskim kolorze, na pewno byłby dobry dla ciebie. Czy byłabyś zadowolona, gdybym ci ją kupiła, abyś mogła sobie z niej wydziergać sweter? W twoim wieku dziewczęta zaczynają się stroić, nie myśląc jeszcze o tym, kim zostaną w przyszłości (s. 13).

Wnuczka nie wierzyła, wydawało jej się, że to jej własne myśli są wypowiedziane głośno, bo sama również widziała tę włóczkę i marzyła o niej: „Czy aby na pewno dobrze usłyszała? Czy aby na pewno było to do niej?”

Babcia stała odwrócona tyłem, tak jakby wstydziła się tego, co powiedziała, nie śmiejąc spojrzeć wnuczce prosto w oczy. A ona nie pomagała jej swoim milczeniem – nie mogła wydusić z siebie żadnego słowa. A babcia nieomal szeptem kontynuowała swoje wyjaśnienie: – Pani w szkole powiedziała mi dzisiaj rano, że sprzątaczką zwichnęła sobie nogę i przez piętnaście dni będę ją zastępować. Będę tam chodziła wieczorem po wyjściu z fabryki. Zupę będziemy jeść później, ale to zawsze te kilka groszy więcej i będę ci mogła kupić włóczkę, teraz rozumiesz (s. 14).

Zapanowała cisza, wnuczka nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

A babcia się nie poruszała, tak jak gdyby wstyd jej nie przechodził. [...] Mówiła coś bardzo cicho, że zaledwie kilka słów dotarło do uszu wnuczki: – Jakie to nieszczęście być biednym, jakie to nieszczęście, mój Boże. – A z gestu jej ręki wywnioskowała, że musiała ocierać sobie łzy (s. 15).

W tym ostatnim akapicie noweli jesteśmy blisko wewnętrznych przeżyć bohaterek. Lapidarność wypowiedzi wzmacnia te odczucia, odbieramy ich różnorodne tonacje, rozumiemy skryte myśli i marzenia wnuczki:

Być może sprzątacze potrzeba będzie więcej czasu, aby wyzdrowieć, i babcia mogłaby ją zastąpić dłużej. I wtedy można by kupić również włóczkę dla babci, zrobiłaby jej piękny, biały sweter, cały ażurowy, byłaby w nim szczęśliwa, wyglądałaby na mniej starą i mniej ubogą [...]. Wyglądałaby jak babcia, którą można ucałować [...] (s. 15).

Nowela, o której mowa, jest jedyną, która kończy się metamorfozą obu bohaterów, w pozostałych najczęściej jesteśmy świadkami tego, jak czas w sposób nieubłagany skazuje najbliższych na oddalenie i samotność. Tak dzieje się w noweli zatytułowanej *La Scolopendre*, która według mnie zasługuje na najwyższą ocenę. Nawet najbardziej wybredny czytelnik, a także najbardziej surowy krytyk znajdą w niej same zalety.

Dominującym tematem, tak jak w większości utworów Desvignes, jest rodzina, a dokładniej relacje między pokoleniem dziadków i ich dzieci oraz dzieci ich dzieci, czyli wnuków.

Przede wszystkim konieczne jest wyjaśnienie tytułu, będzie to bowiem miało zasadniczą rolę w odszyfrowaniu zakończenia noweli. Skolopendra w sensie botanicznym to nazwa paproci o długich jak wstęgi liściach, dochodzących do 50 cm, która rozprzestrzenia się szczególnie na podłożu wapiennym, wilgotnym. Ta sama nazwa odnosi się również do żyjątko, popularnie zwanego w Polsce stonogą, które należy do rodziny tropikalnych wijów. Są wśród nich także duże, mierzące ok. 30 cm, zamieszkujące w Ameryce Południowej i na Jamajce, a przy tym bardzo niebezpieczne dla człowieka, gdyż jadowite. Mniejsze, o długości ok. 10 cm, nazywane paskowanymi, żyją w krajach śródziemnomorskich, a ich ukąszenia są bardzo bolesne⁶.

Bohaterką jest babcia, ale tym razem to ją się przemieszcza. A tak naprawdę, to sama zadecydowała o swojej przeprowadzce, zmuszając się w pewnym sensie do zrobienia przyjemności dzieciom i wnukom, co w zamian nie tylko nie przyniesie jej oczekiwanej wdzięczności i opieki, lecz także spowoduje zawód, coraz bardziej pogłębiającą się samotność i oddalenie od najbliższych.

⁶ Za: *Le petit Larousse*, Paryż 2001, s. 924; *Nouveau petit le Robert*, Paryż 1994, s. 2054; *Nowa encyklopedia powszechna*, Warszawa 1996, s. 874.

Przedstawiona przez autorkę historia, utrzymana w charakterystycznym stylu narracyjnym, jest opisem zachowań osób w podeszłym wieku, które na początku bardzo, następnie coraz mniej przekonane są o słuszności podjętej decyzji, częściowo sprowokowanej przez dzieci i wnuki – oddają im swoje mieszkania, w których przeżyli niemało lat i do których nie tylko przywykli, lecz także z którymi związali się emocjonalnie.

Na pozór nie ma w tym nic zaskakującego, dziadkowie, babcie czują się nie najlepiej, nogi nie są już takie sprawne, serce bije coraz gwałtowniej, a w kamienicy nie ma windy i w momencie krytycznym mogą zostać bez pomocy, a więc może lepiej opuścić ten własny ką, do którego się przywykło i gdzie się jest u siebie, i skorzystać z propozycji dzieci, które kierują się przeciw sercem i czynią to dla nich z dobroci. W noweli występuje jeszcze jeden atut, który wpływa na decyzję bohaterki, dzieci mieszkają w tej samej kamienicy i na parterze. Nie trzeba więc opuszczać starych murów, dzielnicy, sklepiku na rogu, piekarza i rzeźnika, z którymi zawsze można zamienić kilka zdań, a tylko oni, starzy, wiedzą, jak bardzo dużą wartość mają dla nich takie pogawędki.

Zatem bardzo szybko babcia zagłusza pewne niepokoje, broni się nadzieją, że dwudziestoparoletni wnuczek nie tylko będzie czuł się lepiej w jej mieszkaniu, lecz także na pewno doceni jej gest, będzie wdzięczny, będzie czuł się w obowiązku, jeśli nie codziennie, to od czasu do czasu, wpadając do rodziców, zajrzeć do swojego dawnego pokoju i odwiedzić babcie.

Było jasne jak słońce, że Walenty skorzystał na przeprowadzce. Nawet jeśli liczyła, że dogodzi jej jeszcze więcej, swojej babci, ale to nie w stylu dzisiejszej młodzieży. – Babciu, to super fajnie – powiedział. Widziała, że był zadowolony. W dniu przeprowadzki zaniósł jej doniczki z kwiatami i sklecił coś w rodzaju półki naprzeciwko jej łóżka. Ach, była tak szczęśliwa z podjętej decyzji.

Podarował jej również paproć z długimi, zwisającymi jak wstążki, pięknymi liśćmi. Wolałaby wprawdzie roślinkę mającą kwiaty, które każdego ranka uśmiechałyby się do niej w różnych kolorach. Ale nie zawsze miało się to, czego się pragnęło, a poza tym, jak mogła powiedzieć nie, kiedy ofiarowywało jej się coś prosto z serca! (s. 81).

Wszystko toczy się więc normalnie, ale ta normalność byłaby zbyt idealna, gdyby mogła przetrwać, i dlatego – dodaje Desvignes – ludzie starzy czują to i boją się zmian, ale nie mają siły zaprotestować.

Po trzech miesiącach skończyło się. Właśnie wtedy padło jej pierwsze podejrzenie [...]

Na początek dostała duży pokój w zamian za swoje mieszkanie. Nie można jej było wtedy powiedzieć: – Babciu, nie potrzebujesz przecież teraz tak dużego pokoju, czyż nie? Weź pokój małej, w zupełności ci wystarczy jej mały pokoik.

Teraz żałowała.

Trzy miesiące, tak, trzy miesiące. Kiedy pewnego wieczoru nakrywała do stołu, była świadkiem kryzysu. – Nie mam ani chwili spokoju, krzyczała mała, ani miejsca na książki i zeszyty, a zadania muszę odrabiać na kuchennym stole, co to za życie! Co ja bym dała, żeby mieć pokój tylko dla siebie! (s. 81–82).

Nie ma złudzeń, starość musi ustąpić, musi być wyrozumiała:

Nie była głupia, rozumiała. Rozumiała nawet to, że nie miało żadnego sensu stawianie jakiegokolwiek oporu. [...] Rozkaz. To był rozkaz. Trzeba było postawić się na ich miejscu, nie było to dla nich przyjemne, że wysyłali babcię do małej klitki. Musiało być im wstyd, każąc jej opuścić duży pokój, pamiętali przecież, że zgodziła się na niego w zamian za swoje trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze. [...] Dla nich wszystko było zaaranżowane, jej wystarczyło dać do zrozumienia tylko raz. Zrozumiała.

Tego wieczoru po kolacji powiedziała, że było już za późno na przeprowadzkę, ale zrobi to, kiedy tylko małej będzie pasować. Przeniesie więc swoje rzeczy do małej klitki, żeby zrobić miejsce na obszerne książki.

To był mały pokoik, klitka, wielkości jednoosobowego łóżka. [...] Było trochę miejsca na wieszak, a ubrania musiała wkładać do walizki, którą upychała pod wieszakiem. Nie było nawet miejsca na półkę z roślinami zrobioną przez Walentego, więc zostawiła ją teraz w pokoju małej.

Dla nich wszystko było w porządku. Mieli tyle miejsca, ile chcieli. Tylko jej nikt nie zapytał, czy była szczęśliwa. Woleli nie poruszać drażliwego tematu i udawać, że go nie było. I przecież, czy to nie ona zaproponowała małej zamianę pomieszczeń? Czy proponuje się coś, co się nie podoba? Rozumiała wszystko! (s. 83).

Niestety, nie tylko na przeprowadzce kończy się wyrozumiałość babci. Musi się przyzwyczaić do swojego nowego lokum, z małym lufcikiem w dachu, do tego, co raczej należało nazwać antypokojem, co było przybudówką, pomyślaną jako pomieszczenie na narzędzia.

Życie toczyło się normalnie, staruszka robiła wszystko, aby nikomu nie przeszkadzać. Popłakiwała w nocy, a w dzień tylko wtedy, gdy nikogo nie było. Nie mogła ich odstraszać swoimi łzami, bo przestaną ją odwiedzać, i ostatnia bardzo już cienka i delikatna więź zostanie przerwana. A ona przecież przeprowadziła się tutaj w nadziei na sytuację odwrotną, bo samotność komfortową mogła mieć u siebie na drugim piętrze.

Do tego ten paraliż nóg, który spadł na nią tak nagle.

Doktor nie mógł powiedzieć jej ani jak, ani kiedy to się skończy. Ale to, co go interesowało, to powód ataku. Korzystając z momentu nieobecności innych, patrząc jej prosto w oczy, zapytał: – Czy to nie z przykrości? Nie odpowiedziała nic. Więc zadał pytanie ponownie w obecności jej córki, która stała w drzwiach, nie mogąc wejść do pokoju ze względu na jego minimalną powierzchnię, niemal całkowicie wypełnioną

przez stojące łóżko i osobę doktora. Ta również nic nie odpowiedziała, ale całej trójce ciążyła ta sama myśl (s. 85–86).

Co jej zatem pozostało? Czekanie i ostatnie zajęcie, które urozmaicało jej samotne spędzanie długich godzin bez ruchu – zajmowanie się sadzonkami. Była to jej ostatnia pasja, sadzonki były dla niej wszystkim, to z nimi mogła rozmawiać bez obawy o ironiczne spojrzenie, jakie coraz częściej towarzyszyło wnuczce, kiedy ta, najprawdopodobniej w pewnym sensie mobilizowana przez rodziców, pojawiała się w drzwiach jej klitki, by powiedzieć „dzień dobry” i zniknąć.

Na szczęście, pozostawiając całe swoje bogactwo wnuczce, nawet paprotkę подарowaną przez Walentego, bo w jej „schowku na życie” starczyło zaledwie miejsca dla niej samej, zdążyła przed paraliżem przygotować swoje sadzonki i teraz stały się one jej powiernicami.

Sadzonki były dla niej jedyną pociechą, kiedy już więcej nie prowadziła prawdziwej konwersacji i traciła swe siły. Teraz rozmawiała ze swoimi sadzonkami. Kiedy tylko ktoś wchodził do jej klitki, odkładała sadzonkę na nocny stolik. Nie podobało się im, że zajmuje się swoimi roślinkami. Czy aby zamierzali jej odebrać jedyną radość? W każdym razie denerwowało ich to (s. 88).

Czasami jeszcze przychodziła jej do głowy myśl, że na pewno o wiele przyjemniej byłoby jej z jakimś małym zwierzątkiem, ale natychmiast oddalała ją od siebie, za dobrze poznała domowników i wiedziała, że jest to nierealne.

Jednak mimo wszystkich przeciwności jej marzenie się spełniło i miała dla siebie małe żyjątko, oczywiście w wielkim sekrecie przed wszystkimi, bo mogłoby się to źle skończyć i dla niej, i dla tego stworzonka.

Właściwie była to tylko jej sprawa i tylko ona o tym wiedziała, a żyjątko to była skolopendra. Z dzieciństwa pamiętała piosenkę o arce Noego i o robaku, który opóźniał ucieczkę, musząc wytrzeć swoje tysiąc nóżek na wycieraczce przed wejściem do arki. Taki wij, tak właśnie się mówiło, nie znając prawdziwej nazwy, ale ona ją znała, i to od bardzo dawna (s. 89).

Od tego momentu w mieszkaniu były dwie skolopendry, jedna w dawnym jej pokoju, ofiarowana przez Walentego i pozostawiona wnuczce z innymi roślinkami, i druga u niej i razem z nią. Teraz wszystko uległo zmianie, to biedne żyjątko, które nie wiadomo skąd się wzięło, było od niej zależne, to ona była za nie odpowiedzialna.

Pojawiło się tak nagle, jak gdyby z niczego. Pewnego dnia zobaczyła w słoiku po jogurcie, w którym hodowała swoją sadzonkę, coś w kształcie guziczka z białą główką. To było wspaniale obserwować, jak stworzonko rosło, zmieniało swój kolor i znajdowało wszystko, co mu było potrzebne do życia. Jedynym problemem była woda, była

dla niego jak trucizna. Dlatego kiedy podlewała sadzonkę wodą, którą dostała do obiadu, była bardzo ostrożna. Wlewała wodę bardzo delikatnie i po trochu. [...] Nie miała nic innego do robienia, jak zajmowanie się trzema sadzonkami i skolopendrą. Miała mnóstwo czasu i czy ktokolwiek ją pośpieszał? (s. 93).

Trudno było w tym samym słoiku po jogurcie pogodzić podlewanie sadzonki z zapewnieniem niezbędnych warunków do rozwijania się skolopendry, ale ja-koś dawała sobie radę.

Najgorsza była zmiana koloru. [...] I nagle, nie wiedząc, czy to ze strachu, kontaktu z wodą, czy przez chorobę żyjątko odbarwiło się. Stało się przezroczyste, prawie nie ruszało się, a jego różki się trzęsły. [...] W momencie, kiedy zrozumiała, co spowodowało panikę, zaprzestała podlewania. Od tego momentu była podwójnie ostrożna. Podlewała roślinkę tylko z tej strony, gdzie nie było skolopendry [...] (s. 94).

Babcia znalazła rozwiązanie, roślina otrzymywała swoją porcję wody, a skolopendra w suchym miejscu mogła spokojnie dorastać.

Staruszka bacznie śledziła rozwój swojej podopiecznej i wiedziała, że wkrótce ta ją opuści, by wejść w dorosłe życie. Zdawała sobie sprawę, że ten moment jest nieunikniony i będzie dla niej jednocześnie radosny i smutny. Ale do tego momentu należało dotrzeć i uczynić wszystko, aby skolopendra przetrwała.

Tymczasem stan zdrowia babci pogarszał się bardzo szybko i lekarz nie ukrywał przed nią, że może odejść nagle, w każdej chwili. Babcia nie bała się o siebie, nie myślała o bliskich, ale niepokoiła się o skolopendrę, bo jeśli umrze przed opuszczeniem przez skolopendrę jej schronienia, to kto będzie się nią opiekował? Kto, widząc niemal suchą ziemię w słoiku po jogurcie, gdzie rosła jej sadzonka, domyśli się przyczyny, dlaczego babcia podlewała ją z taką oszczędnością. Staruszka podjęła więc decyzję.

W takim wypadku trzeba było kogoś powiadomić. [...] Nagle fala gorąca wypełniła ją, a zwłaszcza głowę. Było jej gorąco i źle. Tak, tego wieczoru koniecznie będzie musiała powiedzieć Walentemu o żyjątku. Chyba tylko Walenty był dla niej najbardziej miły. Wpadał szybko i mówił coś, a ona nawet nie mogła mu odpowiedzieć, bo już go nie było. Nawet jeśli inni zostawali dłużej, nie mówili nic więcej i było jej mniej przyjemnie z nimi aniżeli z Walentym.

Musiała go powiadomić jeszcze tego wieczora. – Jeśli coś mi się stanie, weź moje trzy sadzonki i połóż je w kącie korytarza, nie musisz się nimi zajmować, wiem, że tylko dla mnie były one interesujące, zrób to, o co cię proszę, jeśli tylko coś mi się przydarzy. –

Tak będzie lepiej, z grzeczności zrobi to, o co go poproszę. I będzie to ostatnia rzecz, jaką dla niej zrobi. Jeśli tylko powiedziała mu o żyjątku, nie mógłby przestać się śmiać. Jest jasne jak słońce, że z początku wydawałoby mu się dziwne, że można się zamartwiać o robaka. I kto wie, co by zrobił z biednym robakiem.

Czy to właśnie z tego powodu zrobiło jej się tak gorąco. Trzeba będzie o tym powiedzieć pierwszej osobie, która się zjawi w jej pokoju, nawet wnuczce, która zawsze uważała, że ma rację i nigdy nikogo nie słuchała. Tym razem babcia nie miałaby wyboru i musiałaby jej powiedzieć, żeby nie podlewała sadzonek. Ale nie, mała była tak uparta i na pewno zareagowałaby odwrotnie, uważając, że babcia na koniec mówi od rzeczy, a sadzonki i tak będzie podlewać (s. 96–97).

I niestety, pierwszą osobą, która weszła do klitki babci, i zarazem ostatnią, którą staruszka zobaczyła, była wnuczka.

Biedna, umęczona bólem nie umiała albo nie miała już na tyle sił, aby znaleźć odpowiednie słowa i przekonać wnuczkę o zostawieniu sadzonek samych sobie. Zdążyła tylko wypowiedzieć ledwo dosłyszalnym głosem: „Moja skolopendra, tak, moja skolopendra”.

Mała wycierała oczy. Trochę nawet popłakała, ażeby pokazać mamie, jak jej było przykro, jak ciężko było uczestniczyć komuś w jej wieku w ostatnich chwilach życia babci. Babcia zmarła. Zmarła w momencie, kiedy mała wchodziła do pokoju, żeby się z nią przywitać. Tak było dla niej najlepiej, jak i dla całej rodziny. [...] Jedyne problem, to dowiedzieć się, co też chciała powiedzieć wnuczce. Skolopendra – jedyne słowo, które udało jej się odszyfrować z bełkotu umierającej babci. Co to właściwie oznaczało – skolopendra?

Mała była przekonana, że usłyszała nawet: – moja skolopendra. Według niej babcia nigdy nie zapomniała, że podarowała jej paprotkę. [...] Moja skolopendra – czy mogło być to coś innego jak nie jej paprotka?

Należała do niej i wszyscy mogli poświadczyć, jak dostała ją od babci. – Nie zapomnij o podlewaniu mojej skolopendry – z pewnością właśnie to chciała powiedzieć. Zawsze dawała dobre rady, biedna babcia. Powinna najpierw zacząć od zrobienia porządku u siebie. Widok był żalony, trzy nieomal suche sadzonki. A sadzonki potrzebują wody, i to dużej ilości wody.

Najpierw miała je podlać tak, ażeby prawie pływały w wodzie, następnie miała je postawić na swojej półce w pełnym słońcu. Potem zmieniałyby słoiki na doniczki [...]. Jej skolopendra! [...] Oczywiście, że zajmie się jej skolopendrą (s. 98).

Śmierć babci to jednocześnie koniec egzystencji jej skolopendry. Nie mogło być inaczej, bo mechaniczne gesty nie zastąpią tych z uczuciem, a brak prawdziwych, bliskich związków wyklucza możliwość jakiegokolwiek zrozumienia i porozumienia.

Obserwacje własnej rodziny i innych to doświadczenia, którymi Desvignes posługuje się, aby opisywać nie tylko zachowanie, lecz przede wszystkim procesy myślowe, których rezultatem są owe zachowania. Według niej wszystko dokonuje się w naszej głowie.

Związki między ludźmi nie są łatwe, ale nie oznacza to, że nie są niemożliwe, czego przykładem jest zakończenie noweli *Pousse-café*. Jednocześnie autor-

ka apeluje o minimum zrozumienia dla, nazwijmy to, ostatniej zachcianki starego człowieka, który nie tylko jest od nas całkowicie zależny, lecz także często wszystko nam oddał i nam zaufał.

Nowele Desvignes ze zbioru *Famille, familles* to świetne studium psychologiczne i bardzo dojrzałe spojrzenie na starość. Jedni muszą ją zaakceptować i pogodzić się z nią w sposób naturalny, a inni, ci młodszy, spróbować znaleźć rodzaj mostu, łączności, gdzie przeszłość może być miłe słowo, uśmiech czy ciepły gest.

Wspomniane nowele są w sposób bardzo widoczny naznaczone przez osobowość ich autorki. Desvignes wypowiedziała się w nich, używając różnych domen, które ze sobą współlistnieją i wzajemnie się uzupełniają. Odnajdujemy w nich obok filozofii przepełnionej pesymizmem głos współczucia, głęboką penetrację psychologiczną i uczuciową, zaskakujące spojrzenie na analizowany problem, a wszystko to w stylu bardzo zwięzłym, co jednocześnie jest jego bogactwem.

Dlatego też w pełni podzielam opinię krytyka i profesora literatury Patricka Brady'ego, jednego ze znawców prozy Desvignes, który stwierdził: „To dlatego do tej chwili ceniona przez znawców Lucette Desvignes i jej pazur literacki powinny być odkrywane przez coraz liczniejszą publiczność”⁷.

I na koniec jeszcze raz sama Desvignes:

Jestem bardzo szczęśliwa, że będę mogła dzięki Pani przekazać te kilka zdań moim kolegom w Polsce, z którymi prawdopodobnie nigdy się nie spotkam.

To byłoby wspaniale, gdybyśmy poprzez lekturę moich utworów mogli zbliżyć się do siebie. Jeden z krytyków, kiedy odbierałam nagrodę Burgundii, wyraził się, że są one jak szerokie, wygodne łóżko w wiejskim domu. Na początku prześcierała w nich nieco drapieżność, ale kiedy się do nich przyzwyczai, zaczynamy się czuć coraz lepiej i nie chce nam się ich opuścić. Chyba coś w tym jest. Mam dużo czytelników, którzy od 30 lat pozostają mi wierni, którzy są do tego stopnia związani z bohaterami [szczególnie powieści – A.N.], że dyskutują o nich w domu przy różnych okazjach. W konsekwencji ich dzieci, słuchając i słysząc te same imiona, są przekonane o istnieniu nowej ciotki czy nowego wujka⁸.

FAMILY AND OLD AGE... IN SELECTED NOVELLAS BY LUCETTE DESVIGNES
FROM THE COLLECTION: *FAMILLE, FAMILLES*

Summary

Family, old age and the existential problem within the family make not only a topical subject of our times, since it has existed for times immemorial, yet today it is most often hidden as embarrassing or received as too common.

⁷ P. Brady, *Préface*, [w:] L. Desvignes, op. cit., s. IX.

⁸ Rozmowa z L. Desvignes przeprowadzona przez A. Nawrocką 28 września 2007 r. w domu pisarki w Dijon.

In the novellas by the French writer Lucette Desvignes, who has her roots in Burgundy and who lives in Dijon, this is the leading theme to be found in the collection mentioned in the title of the present paper.

The French author, awarded many times for her works, has won admiration owing to penetrating psychological studies and exposing heroes' motives for their actions, touching upon delicate and tender problems, such as old age, poverty and relations between generations.

Moreover, the author, sparing in words, applies a narrative style, where existential pessimism goes hand in hand with compassion and sympathy.

Lucette Desvignes's novellas offer a very deep insight into old age which some have to accept and agree to treat as something natural, whereas others try to look for a kind of connecting bridge, whose span can be a pleasant word, smile or a warm gesture.

